OPIEKUN DOMOWY

Warszawa dnia 21 Października / 2 Listopada roku. 1865

Nr 44. | Cena w Warszawie 40 groszy miesięcznie. — Cena na prowincji na stacjach pocztowych 5 złotych kwartalnie. | Rok I.

DZIEŃ ZADUSZNY.

Dzień ten jest niejako tryumfalnym obchodem Kościoła Katolickiego i wszystkich mężów prawdziwéj nauki i wiary. Jest on powiewającym sztandarem na gruzach świątyni materjalistów i tych wszystkich pseudo-filozofów, którzy swemi niedowarzonemi teorjami pragnęliby wmówić w świat, że nie masz duszy, ani życia zagrobowego. Ale ci panowie, zaślepieni rozwiązłym i burzliwym celem własnéj opinji, zapomnieli widać, że mają do czynienia z instytucją Boską, z Kościołem nieomylnym, który, każąc wierzyć w życie przyszłe i modlić się za umarłych bliźnich, nic innego nie czyni, tylko podaje nam to co mamy w Piśmie Świętem, co nie jest wcale przeciwne rozumowi i w co od wieków wierzono.

Miejsce i szczupłość ram niniejszego pisma, nie pozwalają mi szerzéj rozpisywać się nad dowodzeniem téj wielkiéj i pocieszającéj prawdy; ale że w bardzo odległéj starożytności mamy ślady modlenia się za umarłych, o tem widzę konieczną potrzebę, choć cokolwiek wspomnieć; albowiem, jeśli zapatrywać się będziemy li tylko z punktu historycznego, okaże się, iż Kościół, ustanawiając dzień modlitwy za wszystkie dusze zmarłe, nic nowego nie wprowadził, tylko zwyczaj pogański i przedchrześcijański, lecz chwalebny i racjonalny, oblókł w chrześcijańską szatę.



Połów pereł.—(str. 351, szp. 2).—(Rysował Gierymski—wyciął na drzewie Sznage).

Jest to wrodzonem naturze ludzkiéj, że jakaś nić tajemnicza wiąże człowieka i jego byt ziemski z przyszłym. Gdybyśmy sobie nie wiem jak chcieli wyperswadować, że nasza istota jest śmiertelna, że nas nic po za grobem nie czeka, to tego niedokażemy, bo jakiś głos wewnętrzny ostrzega nas inaczéj, jakiś niewysłowiony pociąg zbliża nas do prochów pradziadów; serce i myśl goni za nimi a to uczucie,

ten związek, właściwy jest nietylko nam oświeconym Chrześcijanom, ale i wszystkim ludom barbarzyńskim, w czasach najciemniejszych i najdzikszych; prawda ta o życiu przyszłem, o czci i pomocy zmarłym, nigdy nie była i nie jest obcą. Twierdzić zaś, że to tylko jest czczy wynalazek kościoła,—znaczy, nie znać wcale dziejów, nie słyszeć historji.

Już bowiem Homer opiewa w swéj Iliadzie ucztę Achillesową, poświęconą cieniom zabitego Patrokla. I w żaden sposób nie można brać tego ustępu epopei za sam tylko polot poetyckiéj fantazji, ale koniecznie za zwyczaj całéj ówczesnéj Grecji. Plato, Wirgiliusz, Cycero i Seneka, podobnemiż w swych pismach nie gardzą obyczajami. Były nawet przepisane pewne formuły modlitw za umarłych, np.: „Dusze niebieskie, przyjdźcie mu w pomoc. Niech bogowie będą łaskawi na ciebie. Najświętsze cienie, polecam wam małżonka mego, raczcie mu okazać pobłażanie” i t. p.

Indjanie, Egipcjanie, Chaldejczykowie, mniéj więcéj jednakowe w téj mierze, mają wyobrażenie, a u niektórych z tych bałwochwalczych narodów, żony zabijały się na grobach mężów, aby im być towarzyszkami jeszcze i na tamtym świecie. U Indjan okrutny ten zwyczaj dziś nawet nie jest wykorzenionym, i często można smutną usłyszeć wieść o dobrowolnie lub przymusowo płonącéj na stosie ofierze fanatycznéj czci dla zmarłych braminów.

Wódz żydowski, Judasz Machabeusz, posyła dary do Jeruzalem, aby się tam modlono za jego żołnierzy poległych, iżby od grzechów byli rozwiązani. Historyk Józef wskazuje, że wiara ta jeszcze za jego czasów się utrzymywała, świadcząc, iż Żydzi nie modlili się za samobójców.

Kolumb, odkrywając świat nowy, znalazł u tamecznych mieszkańców cześć dla mogił i wiarę w życie pozagrobowe; a J. Arago w swoich podróżach opisuje wielkie uszanowanie ludożerców, ku miejscom przeznaczonym na pochowanie ciał zmarłych.

U nas Sławian w czasach bałwochwalstwa, oprócz żony lub branki, kładziono jeszcze do mogiły nieboszczyka konia i zbroję, aby i nadal mogła swemu panu służyć.

Litwa i Żmujdź pogańska, obchodziła w końcu jesieni uroczystość Dziadów, poświęconą pamięci zmarłych swych przodków. Zgromadzano się wtedy na cmentarzach, gdzie z największą uroczystością i powagą, osłoniętą jakąś straszną tajemnicą, zastawiano na mogiłach potrawy i napoje, wśród różnych modłów i zaklinań. Mickiewicz wybornie opisał wierszem te sceny. Wszystko to dowodzi jasno, że nawet w nieoświeconem pogaństwie były pojęcia o życiu przyszłem, a nawet pewne dni w roku poświęcone saméj tylko pamięci umarłych.

Kościół Katolicki, szanując wszystko co szacunku godne, nie mógł nie pochwalić téj ogólnéj wiary ludów w przyszłość i obcowanie z duszami, a nawracając one narody, już mu łatwiéj było je przekonać o pośmiertnem życiu i nieśmiertelności. Wsparty zaś na powadze Boskiéj, sam wierząc i nauczając, że oprócz Nieba i piekła, jest jeszcze trzecie pośrednie miejsce dla dusz, gdzie tylko do czasu karanie cierpią, i że im modlitwami i dobremi uczynkami pomódz możemy, nie mógł się znów nie zgorszyć krwawemi ofiarami i objatami u pogan; zniósł więc co było nagannem, a kierując się uczuciem Chystusowéj miłości i naturalném popędem ludów, ustanowił raz do roku uroczystość wspomnienia wiernych zmarłych albo Dzień Zaduszny.

Już w II-im wieku po Chrystusie, mamy o tym dniu wzmiankę u Tertuliana, jednakże nie było jeszcze o nim powszechnego jak dziś jest prawa. Marcin Polak przypisuje takowe Bonifacemu IV roku 607; lecz to tylko pewna, że S. Odilon Opat Kluniaceński r. 998 po wszystkich swoich klasztorach, naznaczył stale jako Dzień Zaduszny, obchodzić dzień 2 listopada, nazajutrz po Wszystkich Świętych, co się aż do dziś dnia praktykuje.

Zapewne, że nigdy w roku ludność katolicka nie wyglądała poważniéj i smętniéj jak w owym dniu. Już w wigilję przejmują do głębi duszy żałobne nieszpory i ów katafalk w oczach ludu wznoszony na środku kościoła. A podczas processji, gdy kapłan kropi święconą wodą, kogóż nie przejmie dreszcz na te słowa: „Dzień, on dzień gniewu Pańskiego.”

Nazajutrz to jest w sam Dzień Zaduszny, snuje się od rana zamyślony ludek po kościołach i miasto pogańskich Dziadów i objat, miasto styp z legumin i napojów na kurhanach nieboszczyków, katolicy modlą się wspólnie za nich, aby im Bóg darował kary czyscowe; rozdzielają jałmużnę pomiędzy ubogich i skromnym, lecz serdecznym datkiem, przyczyniają się do podniesienia świetności obrzędów. Kapłani znowuż, grozą zaklinań i czarodziejskich wywoływań, nie straszą ludu jak w bałwochwalstwie, ale w pośrodku wiernych swych braci, wznoszą za dusze zmarłe najczystszą ku Niebu ofiarę, modlą się i innych do modlitwy zachęcają. Cóż to za różnica pomiędzy Grekami, Egipcjanami, Indjanami i t. p. a Kościołem Katolickim? Tam ciemnota i barbarzyństwo, — tu miłość i modlitwa; tam krew i płomień;—tu niekrwawa ofiara, tu dziecko łzę cichą upuści na grobie ojca i matki; tu rodzice westchną żałośnie za swoim synem i córką; tu brat za siostrę, siostra za brata, przyjaciel za duszę przyjaciela, żebrze u stóp krzyża litości,—a wszystkich, żywych i umarłych—łączy jedno ogniwo, jeden wieniec złożony z takich kwiatów jak wiara, nadzieja i miłość, a wzbija ku Niebu takie skrzydło jak modlitwa! O, proszę, niech w Dzień Zaduszny stanie przed kościołem jaki niedowiarek albo materjalista, i niech usiłuje z całą swoją mniemaną erudycją dowieść ludowi, że tam nie ma po co chodzić, nie ma się za kogo modlić, że nie ma dusz ani przyszłego życia, niech prawi, a jeśli kogo przekona, a jeśli go nie wezmą za warjata, zobaczemy.....

Nakoniec, nie od rzeczy tu będzie wspomnieć niektóre podania ludowe o Dniu Zadusznym, krążące z całą powagą pomiędzy ludem po wsiach i miasteczkach, a zupełnéj od nich używające wiary. Są oni tego zdania, że dusze zmarłych o jednéj godzinie wieczorem zbierają się razem do parafialnego kościoła, gdzie na modlitwie krótkie chwile spędzają, wolne będąc od męk, jakieby cierpieć przez ten czas musiały. Przysłuchałem się nie raz opowiadającym wieśniakom, że w Dniu Zadusznym około północy widzieli światło w kościele, słyszeli głos dzwonka na wieży, organy grające, śpiewy i t. p., a sam byłem świadkiem, jak organista szykował na noc ornat i kielich dla księdza, co będzie duszom Mszą św. odprawiał. Niech Bóg broni, aby kto z żywych miał im nabożeństwo przerwać! Oto smutny przykład podobnego zuchwalstwa:

Ciekawa i lekkomyślna dziewczyna, postanowiła téj strasznéj nocy pójść do kościoła, aby się przeko-

nać, co się też tam dzieje. Nie zważała na wszelkie odrady i perswazje, wesoła jak dziecko, punkt o jedenastéj była już na cmentarzu. Wiatr wyje wściekle nad głową, dęby i więzy skrzypią nielitościwie, a tumany kurzu i piasku zasłaniają jéj świat cały, biją w oczy i patrzeć nie dadzą. Ołowiane chmury szumią w górze i pomykają jakby je kto gonił, a przelękniony księżyc łyśnie niekiedy bladem obliczem, przypatrzy się ziemi i znów się schowa, zakopie w obłokach. Wróble, pućki i sowy, bijąc a trzepocząc skrzydłami, uciekają z wieży do dziur i dziuplów jak wściekłe; tylko jedna dziewczyna drwi sobie z tych dąsów przyrody i cicho, na palcach, skrada się od kruchty do kościoła. Drzwi odemknięte, świece się palą, organy żałobnie grają, a ludzi pełno jak w największy odpust. Wszyscy się modlą i klęczą, a każdy taki przejrzysty jak mgła, a taki lekki jak piórko; bo choć dziewczyna przez środek się ciśnie, to przecież ciżby nie czuje, tylko sobie najswobodniéj idzie, to w tę to w ową stronę. Około ambony spotkała nieboszczkę siostrę, chce się z nią witać, a ta jéj szepnie do ucha: Na Boga, siostro! po coś tu przyszła, mącić nasz pokój i naszą modlitwę! uciekaj, uciekaj zaraz, bo zginiesz! Dziewczynie włosy powstały na głowie, wybiegła z kościoła jak strzała i pędzi do domu. Ogląda się, a dusze ją gonią i już tylko co jéj nie pochwycą. Zrzuca ze siebie chustkę i co jéj sił starczy ucieka. Dusze złapały chustkę, podarły, poszarpały na drobne kawałki i tym zajadléj gonią dziewczynę. Już jéj sił ubywa, lecz jeszcze rzuca za siebie fartuch; ale dusze podarły fartuch i nie przestają gonić dziewczyny. Nie ma rady, trza zginąć marnie, tak sobie pomyślała biedna—i jeszcze zrywa spódniczkę, rzuca za siebie, a jak może tak się ratuje. Dusze złapały spódniczkę, podarły i poszarpały na drobne kawałki, ale darować nie chcą dziewczynie. Już mają złapać i rozedrzeć nieszczęśliwą, wtém dwunasta bije, wszystko gdzieś znika, a dziewczyna na trzeci dzień umiera.

Pewnéj matce umarła najmilsza pociecha, jedyne dziecko. Biedna kobieta płacze a płacze, rok jeden i drugi, ale się we łzach utulić nie może; opuściła ręce, do niczego się nie bierze, tylko łzy ociera a płacze. Nie może dłużéj wytrzymać, nadszedł Dzień Zaduszny i poszła w nocy do kościoła, aby tam ujrzeć swe dziecię, swe skarby, a choć na chwilę ukoić ból serca i tęsknotę. W kościołku duszyczki się modlą, nieboszczyk pleban odprawia Mszą Świętą, zmarłe chłopczyki dzwonią we dzwonki, nieznany organista przygrywa na chórze. Strapiona matka chodzi i szuka swojéj dzieciny, ale jéj znaleźć nie może. Widzi dawnych dziedziców w kolatorskiéj ławce, księży po konfessjonałach, tylko dziecka nie widzi. Żal ją wielki ogarnął, że z niczem odejść już miała, lecz jeszcze spogląda za ołtarz..... i—niedowierza.... patrzy, to samo dziecię, drobne jak gołąbek, dźwiga ogromny dzban i nieść go nie może. O mój aniołku, a co się tak męczysz? Matulu droga! to wasze łzy muszę za karę nosić w tym dzbanie. Już mi za ciężko, a nie długo to i rady sobie nie dam. Nie płaczcie, nie płaczcie, jeśli mnie kochacie! Nagle kury zapiały, w kościołku pusto jakby nigdy nic,—a kobiecina już łez nie leje, tylko czasami wzdycha za dzieciną.

W Warszawie jest piękny zwyczaj, iż w wigilję Dnia Zadusznego, jako też i w sam Dzień Zaduszny, pieszo, dorożkami i powozami zbiera się kilkotysięczna ludność na Powązkowskim cmentarzu i tu dopiero, kładąc na grobach wieńce i kwiaty, lub zapaliwszy świece albo lampy, modlą się za dusze zmarłych swych krewnych lub drogich osób, a modlą się serdecznie i gorąco, jak serdecznemi są te łzy co im w oczach błyszczą, jak gorącym jest ten płomień świateł gwiaździstych, który z cmentarza i posępnych mogił, czarujące sprawia zjawisko.

Ks. Drużba.

POŁÓW PEREŁ.

Połów pereł ważnym jest dla Wschodnich Indji; rządowi Angielskiemu przynosi on rocznie 150,000 funtów szterlingów, (to jest 6,300,000 złotych polskich). Indjanie około brzegów Koromandelu i mieszkańcy wyspy Ceylon, szczególniéj w téj sztuce są biegłymi. Połów muszli zawierających w sobie perły, jako też szukanie ich, odbywa się pod okiem urzędników, umyślnie na to ustanowionych.

O przyrodzeniu i sposobie życia samego ślimaka mało dotąd wiadomo; trudno zatem dociec, czem są perły, znajdujące się nietylko na saméj muszli, lecz i w ciele zamieszkującego ją robaka. Spostrzeżono, iż muszle zawierające perły w tych właśnie miejscach, przyczepione były; domyślano się więc, że robak, widząc nadwerężone mieszkanie, wydaje z siebie wapienną massę, zalepiając nią otwór. Ponieważ zaś znajdują się często perły w samym ślimaku, podobny zatem naznaczono im początek, utrzymując, że kiedy ziarnko piasku lub inne ciało ostre do muszli się wciśnie i miękkiemu ciału robaka boleść sprawia, natenczas go właściwą sobie zalewa massą, a z niéj to dopiero tworzy się perła. Z téj przyczyny chwytają w niektórych krajach muszle perłowe, i otworzywszy je, kładą w nie maleńkie kamyczki, poczem zamknąwszy wrzucają w morze, ażeby tym sposobem przyspieszyć tworzenie się pereł.

Inni uważają perły za jajka; gdy natomiast wielu uczonych utrzymuje, iż niczem innem nie są, jak stwardniałą cieczą, którą robak wydaje, aby zwiększać corocznie mieszkanie swoje. Połów muszli perłowych należy do najniebezpieczniejszych przedsięwzięć człowieka, i jest rzemiosłem ludzi, którzy się temu od wielu pokoleń poświęcają.

Ponieważ miejsca połowu są na kilka mil od brzegów odległe, statki do połowu przeznaczone zbierają się w porcie około północy, i na dany znak armatni odbijają od brzegów, ażeby mniéj więcéj ze wschodem słońca stanąć na miejscu. Strzał armatni zawiadamia o połowie, a miejsca, w których się ma odbywać, oznaczone są dokładnie przez dozorców. Statek każdy mieści w sobie oprócz właściciela i sternika, dwudziestu ludzi, z których dziesięciu na nurków jest przeznaczonych. Bezpośrednio przed zanurzeniem, stawa nurek jedną nogą w strzemieniu do czółna liną przymocowanego, obwiązuje się liną około piersi, nos i uszy bawełną zatyka, w ręku zaś trzyma gąbkę olejem napuszczoną, ażeby w chwili oddychania mógł się zasłonić przed natarczywością wody. Stanąwszy na ziemi w głębokości 10 do 12 sążni, zbiera muszle, kładzie je w worek do pasa przywiązany, a po pięciu minutach pociąga za linę, do któréj przytwierdzony jest dzwonek i tak na statek powraca. Bywa nieraz, że w podobnych wyprawach nie jeden nurek życiem przypłaca śmiałość i odwagę swoją; nietylko

bowiem duszą się częstokroć pod wodą, ale stają się pastwą ryb żarłocznych. Zdrowie ich znacznie się nadwątla; krew rzuca się ustami, oczami i uszami, skoro po kilka razy w morze się zanurzają.

Za danym znakiem ustają roboty, statki powracają na miejsce, z którego wypłynęły i wykładają złowione muszle, zostawiając je na słońcu, ażeby pogniły. Potem kładą je w koryta drewniane, nalewają wodą i przemywają. Po wyrzuceniu skorup muszlowych i oczyszczeniu robaków, wybierają się dopiero perły i na słońcu osuszają; poczem rozkładają się na białych chustach, a po osuszeniu przepuszczają się przez sita, ażeby tym sposobem oddzielić dokładnie stopniową ich wielkość.

Wartość pereł zależy od wielkości, kształtu, koloru i przezroczystości. Największe dotąd znane, są wielkości włoskich orzechów; są one atoli nader rzadkie. Perły zupełnie równe i dobrane, wielkości pestki od wiśni, wysoko bywają przepłacane. Zupełnie drobne perełki tłuką się na massę, i z niéj fałszywe wyrabiają perły.

Europejskie perły nie są tak drogie jak Wschodnie: w skarbcu cesarza Perskiego znajduje się perła, za którą zapłacono 1,600,000 złotych polskich; król Hiszpański Filip II-gi posiadał perłę *la peregrina* zwaną, wielkości jaja gołębiego.

Ludzie obróceni w kamień.

(Z PODAŃ LUDU).

Wiele jest takich miejscowości, gdzie lud pokazuje kamienie często dziwacznych kształtów, opowiadając zarazem historje, że to ludzie zostali w nie zamienieni. Przytoczymy tutaj kilka takich podań:

1. Niedaleko od klasztoru Norbertanek w Strzelnie pod Inowrocławiem, we wsi zwanéj Młyny, znajduje się głaz ogromny, wyobrażający zdaleka patrząc, dość nieźle człowieka niosącego wodę w kubłach. Jest podanie, że w kamień ten przemieniła się przed laty pewna służebna dziewczyna. Miała ona być niezmiernie leniwą i gdziekolwiek ją jéj gospodyni wysłała, lubiła się zawsze długo zabawiać. Jednego razu poszła z wiadrami do pobliskiego źródła czerpać wodę i zwyczajem swoim, nie wracała długo do domu. Gospodyni zniecierpliwiona rzekła w uniesieniu: „bodaj taka dziewucha skamieniała!" Poczem upływa jedna i druga godzina, a dziewczyna jak nie wraca tak nie wraca. Nareszcie sama gospodyni wychodzi z domu, szukać jéj z obawy, czy czasem w wodę gdzie nie wpadła. Lecz jakież było zadziwienie i przestrach gospodyni, gdy nad źródłem zastaje dziewczynę, w skutek jéj przekleństwa, wraz z wiadrami przemienioną w kamień.

2. Niedaleko Brześcia Kujawskiego, nad jeziorem pokazują wieśniacy duży kamień, mający podobieństwo do dziewczyny z grabiami. Podanie istnieje, że została w kamień obróconą, będąc nieposłuszną matce, w czasie grabienia w dzień świąteczny.

3. W pobliżu wsi Koronat na Podlasiu, są dwa głazy, o których podanie niesie, iż pewien gospodarz orząc w niedzielę, został przeklętym od jakiegoś pobożnego człowieka i skamieniał zaraz.

4. O ćwierć mili od wsi Zabokruki w gub. Podolskiéj, jest przy drodze kamień, jak słup jaki, grubości do czterech łokci, a wysokości może do 10 mający. Jest podanie między okolicznym ludem, jakoby za bardzo dawnych czasów, matka z córką pracowały na téj łące, i kiedy matka najpilniéj robiła, to córka często folgując w pracy, napomnienia matki w tym względzie lekceważyła. Rozgniewana matka w uniesieniu przeklina ją, ażeby się w kamień przemieniła i oto nieposłuszna córka, zamienia się nagle w kamień, który aż do dziś przetrwał.



Ludzie obróceni w kamień.—(Rysował Polkowski—wyciął Krzyżanowski).

5. Między Jeziorzanami a Buczaczem, jest kamień mający postać człowieka z podniesioną ręką. Podanie ludowe taki mu początek naznacza: Pracującéj matce w polu, przyniosła córka jedzenie, lecz gdy ją matka łajała, że się i zbyt spóźniła i jeszcze liche jedzenie przyniosła, niegodna córka, wpadłszy w passję, podniosła rękę, chcąc matkę uderzyć. Niedopuściło jednak Niebo tak szkaradnego czynu, bo zaraz obróciła się ona w kamień z podniesionem ramieniem. Obok tego głazu, pokazują na ziemi mniejszy głaz, mający pewne niby podobieństwo do *dwojaków*, w których zwykle wieśniacy strawę noszą pracującym w polu.

Zygmunt Gawarecki.

KRAKOWIANKA,

PRZEZ

Jana Kantego Turskiego.

W pięknéj wiosce w blizkości Krakowa położonéj, mieszkał w bardzo porządnéj chacie wieśniak Ambroży, w młodości trudniący się flisem, a na stare lata spoczywający w lżejszéj pracy około ziemi własnéj. Miał chatkę własnemi wybudowaną rękami, bo i drzewo sam na nią zwoził z lasu, i w niéj mieszkał sobie jak najspokojniéj i najszczęśliwiéj, w gronie ukochanéj rodziny, kochany także od nich jako dobry gospodarz i ojciec, przyjacielski kum i sąsiad dla bliźnich. Rodzina Ambrożego składała się z trzech tylko osób. Ze staréj babuni liczącéj przeszło lat sto, z żony Ambrożego, a córki szczęśliwéj staruszki, i z dorodnéj siedmnastoletniéj dziewuchy, Maryny, która choć nie była córką Ambrożego,

ale tylko blizką jego krewną, miała jednak takie zachowanie u niego, jak własne dziecko, bo i miłość rodzicielską i opiekę, jak u matki najlepszéj i zgoła na niczem jéj nie zbywało. Można się też doprawdy było szczerze i serdecznie opiekować taką dziewuchą, jaką była Maryna: bo to i dorodna, i kształtna i potulna, nie sprzeczna ani próżniaczka, ale pracowita, chętna do wszystkiéj roboty, uległa dla starszych, choć czasem i pozrzędzili niesłusznie, nabożna przytem i jak ptaszyna jaka śpiewająca ustawicznie to ochocze i wesołe piosenki, to znowu smutne, i rzewne do płaczu jakowegoś poruszające, ale to do takiego płaczu, z którym człowiekowi lżéj się robi na sercu; i choć łzy w oczach świecą jak gwiazdki, w duszy się jakoś miło robi. Maryna taka była. A skoro ko Ambrożego za rękę i... więcéj nie mówił ni słowa Umarł, a sierota Maryna miała od téj chwili drugiego ojca, który wiernie swojéj przysięgi dotrzymał. Skoro więc Ambroży powrócił z wojaczki do domu, zastał tam trzechletnią córkę swego brata; i serce mu się krajało ze żalu, gdy na biedną sierotkę popatrzył. Porwał ją na ręce, pocałował serdecznie i z prawdziwą boleścią zawołał: Nie masz ci już nie masz twojego tatusia! Biedna ty sierotka, bez ojca, bez matki. Matka bowiem odumarła Marynę, gdy miała półroku dopiero—i chowało się już odtąd dziecko nieszczęśliwe u Ambrożych. Lecz Ambrożowie, którym Pan Bóg odmówił potomstwa, zajęli się Maryną, jak własnem dzieckiem i niktby nigdy inaczéj o nich nie powiedział, widząc ich obejście się



Koń Perszeroński.—(Wycięto w drzeworytni Berlińskiéj Lorcka).

wam jeszcze powiem, że na twarzy była bieluchna jak śmietana, conieco różowawa, a włosy miała czarne, jak kruk i długie takie, że żadna we wsi dziewucha takich nie miała, i oczka jasne, niebieskie a śmiejące się, jak niebo w pogodzie czerwcowéj, toć mi nie weźmiecie za złe, że się przyznam, iż serce człowiekowi chciało wyskoczyć do niéj i każdy, co ją widział, to samo wam o niéj powie. Maryna była córką brata Ambrożego, który młodo umarł. Na imię mu było Piotr. Kiedy umierał, a trzymał go wtedy płaczący Ambroży na swojem ręku, ostatnie jego słowa były: Mój Ambroży! pamiętaj też o mojéj dziewusze. Brat wtedy nachyliwszy się do umierającego, pocałował go w twarz i rzekł: Bóg mi świadkiem, że póki życia, o niéj nie zapomnę. Na te słowa, Piotr otworzył zawierające się z bólu oczy, i uśmiechnąwszy się radośnie i spokojnie ścisnął tylz sierotką, jeno, że to są prawdziwi jéj rodzice. Ambroży, jak powiedzieliśmy wyżéj, na stare lata porzucił flis i oddał się uprawie roli. Maryna rosła przy nim, jak kwiatek wiośniany, i już od maleńkości saméj, największe miała upodobanie w śpiewie. Mając lat pięć, biegała sobie po sadzie koło domu stryjka, (bo tak nazywała Ambrożego), to za motylkiem goniąc, co jéj z kwiatka na kwiatek uciekał, to wianuszki dla babuni stareńki z polnych kwiatków zwijając, śpiewała przy tem, a śpiewała bez ustanku, nie przymierzając jak owa pszczółka, co to brzęczy i brzęczy po kwiatkach, a swoją drogą pracuje pilnie.

Niektóre z piosneczek śpiewanych przez Marynę, gdy jeszcze takiem małem była dzieckiem, zapamiętałem do dziś dnia; bo się wam przyznam, żem się im skrzętnie przysłuchiwał. Raz, było to w niedzie-

lę po obiedzie, stary Ambroży nałożywszy na nos okulary, zabrał się do czytania jakiegoś kalendarza, pani Ambrożowa strudzona trochę drogą do kościoła, którą choć wynosi milę, pieszo dzisiaj odbyła, położyła się przedrzymać, a babunia, krzątając się ciągle, wedle zwyczaju i zawsze to jeszcze mając coś do roboty, sztukała laską, na któréj się spierała po izbie; Maryna.—Oho! Maryna już fiut! do ogródka, i dalejże po bukiet dla babuni, i śpiewa:

Nie umiem ja śpiewać z nauki,
Bom się nie uczyła téj sztuki,
Alem się od ptaków uczyła;
Kiedym se wianeczek mój wiła.
To też śpiewam jak ptaszyna,
Kwili! kwili! ludzie mili.
I wy byście tak śpiewali,
Żebyście se wianki wili.

I powtórzyła potem: Kwili, kwili! ludzie mili!.... i co daléj było niedosłyszałem, bo jakoś po cichu daléj śpiewała. Innym znowu razem, co zdarzyło mi się także podsłuchać, i wykraść téj polnéj śpiewaczce, na nutę krakowiaka, wyśpiewywała smutne melodje nad swojem sieroctwem; bo choć najlepsi opiekunowie zastąpili jéj rodziców prawie zupełnie, zawsze to nie to, co matka rodzona, co ojciec własny.

Więc znowu śpiewała sobie:

Pomarła mi matka, i ojciec pomarli,
I całe mi szczęście do grobu zawarli.
Najlepsi stryjkowie nie zastąpią matki,
Cóż zastąpi słonko i rosę na kwiatki?...
Sierotam, sierota, sieroce me życie,
Choć mię śpiewającą cały dzień widzicie.
I ptaszek sierotka na gałązce drzewa;
Zabili mu matkę, a on sobie śpiewa.
Śpiewa sobie śpiewa, choć go serce boli...
Tak i ja dzień cały śpiewam se do woli,
Fartuszkiem obetrę łzy z oczów cichutko,
I znowu piosenkę zanucę króciutką.

Głos téj miłéj Maryny, którym te wszystkie swoje piosneczki śpiewała, a których w żadnéj książce nie znajdziecie, był równie miłym, jak i ona. Ale, że sobie nad swoją sierocą dolą czasem popłakała, to nie bierzcie jéj tego za złe, jak to babunia robiła: bo sieroctwo, to zawsze stan przykry dla człowieka. Maryna zawsze sobie śpiewała:

Nie dobrze sierocie,
Kąpać się i w złocie.
Dobrze jéj ze łzami;
Z kwiatkami, z piosnkami.

— Ej, zawsze byś ino, o tych piosnkach i o tych łzach śpiewała, mówiła jéj wtedy stareńka babunia, którą gniewało to narzekanie Maryny, bo widziała, że Ambrożowie dogadzają jéj we wszystkiem, a była przytem starowina trochę grymaśna i zrzędna, jak zwykle tacy bardzo starzy; i nieraz ją ofuknęła, a czasem i szturchnęła pięścią w plecy. Ale Maryna nie mrucząc nic, jakby to inna krnąbrna dziewucha zrobiła, znosiła spokojnie te upominki babuli, całując ją w rękę i mówiąc słodziutkim głosikiem do niéj:

— Nie gniewajcie się babulu na Marynę, już nie będę więcéj tak śpiewała, a na dowód poprawy zanuciła jéj wesołego krakowiaka, śpiewanego także przez innych chłopków pod Krakowem:

Jak ci pojadę, Floryjańską broną,
Trzasnę se biczyskiem, jak jedwabną stroną.
Jak ci ja pojadę Krakowską ulicą,
Wynieś mi dziewczyno kapusty z donicą.

I babula wtedy uspokojona taką piosnką, głaskała Marynę po ładnych jéj włoskach, bo rada była gdy jéj co o Krakowie śpiewała.

(Dalszy ciąg nastąpi).

POŻEGNANIE PRZED ŚLUBEM.

Wstawaj—wstawaj, jagodeczko!
Póki nie wstanie słoneczko,
Bo jakby cię w śnie zastało,
Mocnoby się sfrasowało.
Wstawaj—wstawaj, w równe nogi,
Bo cię wita dzionek błogi;
Twój Jaś jak rozmaryn świeży,
Wnet stęskniony tu przybieży.
Wychodź, wychodź, bo już czas,
Wdziéj spódnicę w siny pas.
I przyszedł Jaś utęskniony,
W ślubną odzież wystrojony.
Przed wrotami siwe klacze,
A w komorze dziewczę płacze.
Zjechali się goście, swaty,
Dziewczę stoi w progu chaty:
—Zostańcie mi z Bogiem, matko,
Co mnie wychowałaś gładko,
Ostań z Bogiem ojcze mój,
Coś mnie chował na żal swój.
Kogóż kochać wy będziecie,
Jak do ludzi mnie wyślecie?
I was żegnam, śliczne ściany,
Alkierzyku malowany.
Któż tam teraz już usiędzie,
Kiedy w domu mnie nie będzie?
Ostańcie mi z Bogiem progi!
Chodziły tam moje nogi.
I ciebie już żegnam ziele,
Którego tu miałam wiele!
Nie będę was przesadzała,
Zimną wodą podlewała.
Żegnam—żegnam was kwiateczki,
Z których wiłam równianeczki,
Z was uwiłam mój wianeczek,
Z drobnych listków i serdeczek.
O ty wianku mój ruciany,
Lilijami przewijany,
Otocz mi się wdzięcznem kołem,
Nad dziewiczém jeszcze czołem.
I tak tęskniła i tak płakała,
Swój mały światek z żalem żegnała.
—Oj, siadaj, siadaj, Maryś kochanie,
Nic nie pomoże twoje płakanie.
Na boru sosna, w polu topola,
Trzeba iść za mąż, to Boża wola.
Oj, siadaj na wóz,—rżą siwe klacze,
Niechże Marysia więcéj nie płacze.
I pojechali przez las zielony,
Janek z Marysią już zaślubiony;
Jak przyjechała, rączki podała,
Ślicznie z organków muzyka grała.
A jak wracała przez wieś, przez miasto,
Wszędy mówili na nią, niewiasto.
Kukułka kuje w lesie na dąbku,
Oj, zapłakała Marysia w rąbku.

Józef Grajnert.

O KONIU POD WZGLĘDEM HISTORJI NATURALNÉJ.

(Dokończenie.—Patrz Nr. 37 do 41).

Od rassy wschodniéj wzięły początek konie polskie. Potrzeba wojenna, a nadto wewnętrzne zamiłowanie naszych przodków do tego szlachetnego stworzenia, obok sprzyjających warunków do hodowli, pozwoliły wytworzyć nam sobie oddzielną rassę koni polskich, niestety dziś w swéj pierwotnéj czystości zagubioną. Spiridjon Ostaszewski, wyborny znawca stadnin nad-Dnieprzańskich, powiada, iż koń polski powstały z krzyżowania ogierów wschodnich z klaczami krajowemi, był rosły, a nawet wyniosły, budowy silnéj, muskularnéj, ale nie ciężkiéj. Ogon długi i gęsty, z włosem nieco kędzierzawym ale nie kłakowatym; grzywa takaż długa i cienka; głowa sucha a uszy ostro osadzone, oko pełne. Temperament żywy, ognisty, a jednak łagodny. Ukraińskie stepy sprzyjały hodowli na pół dzikich najszlachetniejszych tabunów końskich. Jeszcze niedawno stado Atanazego Podhorskiego z 400 tabunowców złożone w Mohylnéj, chodziło samopas latem i zimą. Możne rody słynęły z piękności koni utrzymywanych w wielkich tabunach. Z wielkich stad jednak, nie pozostało już szczątków, z wyjątkiem jednego książąt Sanguszków w Chrystówce, które wywodzi początek od Jagiełłów i jest najstarszem bezwątpienia w Europie. Sławne jeszcze przy końcu zeszłego wieku stada: Padlewskich, Rzewuskiego, Borzęckich, Potockich, Czartoryjskich, Kurdywanowskiego, Proskuły, w naszym już wieku znikły. Miłośnicy koni czynili specjalne wyprawy do Arabji, a przewodniczyli im tacy znawcy koni, jak: Manugiewicz, Baranowski, Obodyński, Wróblewski i inni. Dąbrowski, stolnik Halicki, płacił osobną pensję żydowi w Chocimiu, aby go uwiadamiał najspieszniéj o nowo-przybywających partjach koni wschodnich. Dziś po Zachodnich gubernjach, gdzie jeszcze hodowla koni się utrzymuje, następujące sławniejsze stadniny liczy Spiridjon Ostaszewski, Sanguszkowie w Chrystówce w gubernji Wołyńskiéj, w kluczu Sławuckim, Branicki w Białéj-Cerkwi, Czarnowski, Podhorski, Żurawski, Chojecki, Abramowicz i t. d. W Królestwie Polskiem rządowe stado w Janowie, posiada konie wschodnie, ale głównie kierunek téj stadniny zwrócony jest do angielskich. Jakkolwiek wpływ tego stada na rassowość naszych koni niewielki, to przecież wielu znawców pragnęłoby kierunku zwrotnego do ras wschodnich. Jakkolwiek rassa polska w całéj czystości już nie istnieje, to przecież śladów jéj dopatrzyć można i w naszych koniach chłopskich, które jakkolwiek maleńkie, często jednakże przedstawiają dziwną miarowość kształtów. Na bagnach gubernji Mińskiéj i Grodzieńskiéj, wyrodziła się osobna odmiana maleńkich, krępych koni, zwanych Litewskiemi, tak samo jak górski konik Karpacki, przedstawia także pewne charakterystyczne cechy.

Osobną i na uwagę zasługującą rassę stanowią konie angielskie; powstały one dobrze już w zeszłym wieku z krzyżowania ogierów wschodnich, berberyjskich, z krajowemi klaczami. Głównie jednak na rassę tę wpłynął kierunek hodowli, który nadał koniowi angielskiemu przymioty specjalne. Najczystszéj krwi konie téj rassy, odznaczają się wyniosłym wzrostem, smukłością ciała, dużą głową, wysokiemi długiemi nogami. Odgałęzieniem téj rassy jest koń Sulfokski. Są to konie dobre do wyścigów, na równéj płaszczyznie, lecz mało zwrotne, mało pojętne i w wytrwałości ustępują arabom. Zwykłe konie angielskiéj rassy mało poprawnéj, dają niezłe konie cugowe.

Hodowla koni roboczych, tych skromnych ale najważniejszych zwierząt, wytworzyła osobne rassy tak zwane *limfatyczne*. Na szczególną w tym kierunku uwagę, zasługują niektóre rassy francuskie, a między niemi tak nazwana *Percherońska* z Normandji i *Ardeńska* z Belgii. Obie nie odznaczają się zewnętrznie pięknemi kształtami, są małego wzrostu, choć dobrze ukształtowane w kłębie. Koń ardeński ma duży łeb, rozrosłe piersi a w krwi mniéj limfy niż jego kolega Normandski, który za to sposobniejszy do dźwigania wielkich ciężarów. Robocze rassy niemieckie, między któremi *hanowerska* i *meklemburgska* wielkością kształtów i ociężałością wybitnieje, mogą istnieć tylko w krajach wysokiéj uprawy, i wysługiwać się przy pociągach po wybornie udoskonalonych drogach. Dla nas mało mają interesu, kiedy rassę percherońską lub ardeńską z korzyścią możnaby przyswoić. Największego jednak znaczenia w poprawie naszych roboczych koni, zdają się być rassy wschodnie. W rozprawach nad tym przedmiotem, znawcy, jak Ludwik Krasiński, Łabędzki i inni ziemianie, byli przekonania, iż najwłaściwiéj użyć rassy koni wiackich. Pochodzą one od głównéj rassy koni *tatarskich*, które się odznaczają wielką głową, grubemi nogami, a kłąb mają wybornie ukształtowany. Ubarwienie ciemne lub pstre. Pominąwszy łatwość ich nabycia, możemy się przekonać o ich dzielności z koni używanych przy komendach ogniowych warszawskich. Nie będziemy się rozszerzać nad innemi rasami, a nawet gatunkami konia jak: ezikitaj quaga, żebra, górny osioł, lub też pewnemi odmianami stanowiącemi osobliwości. Pallas np., bawiąc w stepach Tartarji, opisał konia z wąsami obfitemi na wardze górnéj, inne z grzywą na karku aż do osady ogona lub też z pokryciem zupełnie wełniastem. Krymscy hanowie mieli konie zupełnie gołe, a na wyspie Oesell konie dochodzą tylko maleńkiego wzrostu czyli tak nazwanych kucyków. Lecz wszystkie te gatunki i odmiany, wyjąwszy osła, tak użytecznego w krajach wschodnio-południowych, żadnego prawie w gospodarstwie ludzkiem nie mają znaczenia, a usiłowania swieżo we Francji robione, w celu przyswojenia quagi, są jeszcze nierozwiązanem zadaniem.

O użytkach konia, nie widziemy także potrzeby długo się rozpisywać. Żywi on całe plemiona swojem mięsem i mlekiem, z jego włosia przemysł tysiące wyrabia przedmiotów; lecz czemże są te korzyści w porównaniu z temi, jakie przynoszą jego usługi, gdy jak wierny towarzysz człowieka dzieli jego prace rolnicze, jego podróże, boje i niebezpieczeństwa. Zważając to, powtórzyć raz jeszcze musimy owe słowa Bufona, iż ułaskawienie konia jest najpiękniejszą zdobyczą człowieka na naturze.

Adam Wiślicki.

Przepis na zapalenie oczów.

Bierze się jedno jaje od młodéj kury, takowe gotuje się na twardo, po ugotowaniu wystudzić je trzeba, przerżnąć na połowę, wyjąć żółtko, wytrzeć na czysto gdzie było żółtko, w jednę połowę wsypać witryolu sproszkowanego, który mocno natłoczyć w miejsce wydrążone, w drugę połowę wsypać miałko tłuczonego cukru. Złożyć do kupy jaje i związać

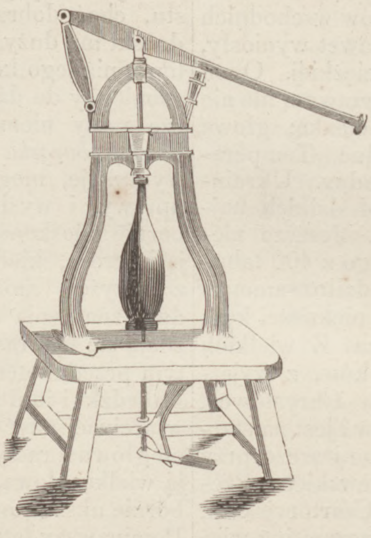
nitką białą lnianą, do tego wziąść szklankę wody źródlanéj, w któréj powiesić jaje na kołeczku przez godzin 24, płyn ten wlać w flaszkę i z takowego używać dziennie razy trzy wpuszczając piórkiem w oko.

Lekarstwo to wywarło dobry skutek, bo p. Ludwik Kraśnicki, będąc w Paryżu, wiele razy potrzebował, przysyłał zawsze po nie do Warszawy.

R A K I.

Chociaż w sąsiednich Słowianom Niemczech używano oddawna raków za pokarm, przecież Słowianie długo się niemi brzydzili. W XV wieku, w Morawji, między Hanakami, gdy głód okropny szerzyć się zaczął, wdowa uboga, przezwana późniéj *Raczynka*, z siedmiorgiem dzieci, przezwyciężywszy wstręt i obrzydzenie, poczęła gotować raki i niemi żywić siebie i liczną dziatwę, w skutek czego uznali ją okoliczni mieszkańcy za czarownicę i oskarżyli o czary. *Ctibor Towaszowski* z Cymburga, przeznaczony na sędziego, kazał jéj się stawić i stos przygotować. Wdowa stanęła przed sądem i na zarzuty oskarżycieli, zkąd mogła wziąść żywność wśród powszechnego głodu, pokazała gotowane raki, które ją z rodziną od głodowéj śmierci zachowały. Na rozkaz sędziego, w obliczu ludu, zjadła raki, dzieląc je pomiędzy dziatwę, a roztropny sędzia uwolnił ją nietylko od oskarżenia, ale i od kary, i zabezpieczył od napaści przesądnego ludu. Odtąd powoli zaczął znikać wstręt Morawców do ogromnych i potwornych raków. Od Morawian przyjęły je do potraw i inne pokolenia Słowian, a wdowa otrzymała od ludu nazwę *Raczynki*.

Maszyna do korkowania butelek pomysłu Chalopina.



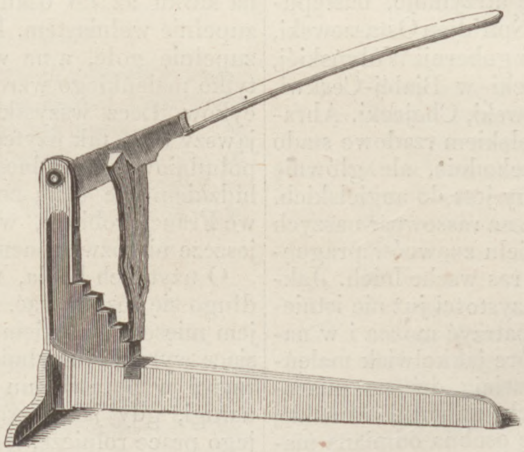
Maszyna do korkowania butelek.
(Rysował i wyciął na drzewie Kuczyński).

Maszyna ta na różnych wystawach otrzymała nagrody. Jest ona mocna, mało zajmująca miejsca, łatwo przenośna i niekosztowna. Przytem łatwo się na niéj korkowanie butelek odbywa i to bardzo pospiesznie. Jeden człowiek, średnią wprawę mający, może zakorkować przy jéj pomocy 300 butelek na godzinę, bez względu na wielkość korków. Maszyny te są różnéj wielkości, które sprzedają się od 10 do 170 franków za sztukę, stosownie do mocy i ozdobności kształtu, a to w Paryżu pod adresem, *Mr. Chalopin*, *Boulvard de la Chapelle*, *24.*

Maszyna do łupania drzewa.

W miastach wielkich są domy więcéj obejmujące mieszkańców, jak nie jedna wieś całkowita. Wystawcie sobie wszystkie gospodarstwa takiego domu zatrudnione łupaniem i rąbaniem drzewa, za pomocą toporka albo siekiery, dla rozświecenia ognia rano w południe lub na wieczór, a pojmiecie jaki to nietylko huk, trzask, ale nadto ile sama budowa domu na tem cierpieć może.

Dla uniknięcia hałasu i utrzymania pomiędzy sąsiadami pożądanéj zgody, częstokroć przez nieumiejętne łupanie na szwank narażonéj, tudzież dla usunięcia innych niedogodności przy noszeniu drzewa po piętrach i t. p., powzięto myśl wynalezienia odpowiednéj maszyny. Składa się ona z ostrza czyli klingi silnie do lewara przytwierdzonéj, którego jedno ramie odpowiednio długie, znaczną siłę przycisku wywrzeć jest zdolne.



Maszyna do łupania drzewa.
(Rysował i wyciął na drzewie Kuczyński).

Rycina tu zamieszczona przedstawia maszynę tego rodzaju, w Wiedniu dotychczas najwięcéj rozpowszechnioną. Oparta przy murze, mało zajmuje miejsca, a łupie z łatwością rozmaitéj wielkości, stosownie podzielone drzewo.

We Francji kosztuje zaledwo franków 10, a zbudowaną być może przez każdego robotnika zręczniejszego.

ROZMAITOŚCI.

— Dla ostrzeżenia czytelników naszych, przytaczamy tu zupełnie niewymyślony, ale istotny fakt, który zdarzył się niedawno na bruku Warszawskim. Pewne panie, matka z córką wyruszyły, opatrzyć się w sprawunki na mieście, wstąpiły do znanego sklepu przy ulicy Rymarskiéj, i tam uskuteczniwszy takowe, udały się daléj po kupno rękawiczek na Długą ulicę. W sklepie rękawiczniczym, spostrzegła córka, że brak jéj pieniędzy z sakiewką. Wracają więc obie z matką dla obserwacji amatora, nic nie spotkały zdrożnego: wracają do domu..... o zgrozo, matka nie znajduje swojéj sakiewki w kieszeni. I powiedzcie tu teraz, że Warszawa niema swoich zręcznych, rodzimych eskamoterów!

— Niedawno jakiś Anglik wsiadł na okręt w Hawrze, odpływający do Ameryki i wziął z sobą prześlicznego psa. Pies ten kasztanowatego koloru z długiémi uszami, z okiem pełném zmyślności, przedstawiał typ najpiękniejszego wyżła. Pies ten, będąc pierwszy raz na okręcie i na morzu, zaczął być wkrótce niespokojnym, począł biegać i zaglądać wszędzie a nareszcie wyskoczył w wodę. Zatrzymajcie, zatrzymajcie statek zaczął wołać nasz angielski podróżnik. Ale kapitan statku odpowiedział, że nie wolno zatrzymywać się, dla wyratowania psa lub jakiego innego zwierzęcia. A gdyby to był człowiek zapytał Anglik. Och! to co innego! Słysząc to Anglik, wskakuje zaraz z pokładu w morze. Nie ma już teraz innéj rady, więc kapitan komenderuje statek zatrzymać, a spuścić łódź na morze, która pospieszyła z pomocą psu i jego ryzykownemu panu.

w Drukarni J. Jaworskiego.—Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.—*Redaktor*, Adam Mieczyński.